

STANISŁAWA ZAWADZKA

— *życie dla sztuki*

Mówili o niej dama. Już mało która potrafiła być prawdziwą, godną tego miana kobietą w tych spauperyzowanych czasach. Ona pozostała nią do końca, do 21 lipca 1988 roku, kiedy to mając lat 97, odeszła na zawsze.

Kim była legendarna już dziś śpiewaczka, Stani Zawadzka (jak nazywano ją na afiszach w kraju rodzinnym) lub też Stani Zawaska — jak głosiły programy operowe Mediolanu, Londynu czy Barcelony. Idąc tropem jej losu, raz jeszcze przypominałem sobie tę prawdę o przedziwnych drogach prowadzących na operową scenę... Ale może tym razem zacznijmy od końca. Przez ostatnie 40 lat — czyli od chwili, gdy w 1948 roku opuściła scenę — Stani Zawadzka zajmowała się wyłącznie pracą pedagogiczną, którą już rozpoczęła w okresie okupacji. I niedawno, przenosząc się do lepszego świata, pozostawiła nam w świeżej pamięci swój wizerunek śpiewaka-pedagoga-człowieka.

Mówi jej uczennica, wybitna śpiewaczka polska, Stefania Woytowicz: — Profesor Stani Zawadzka przekazywała uczniom wiedzę nie tylko ściśle muzyczną, ale wpajała im również miłość i oddanie muzyce polskiej. Zwykła była mawiać: „Pamiętaj z jakiego gniazda wywodzisz się i dokąd masz wrócić”. Niezmiennie dbała o poszerzenie repertuaru polskiego, twierdząc, iż świadectwo rodzimej sztuki potwierdza udział narodu polskiego w kulturze światowej.

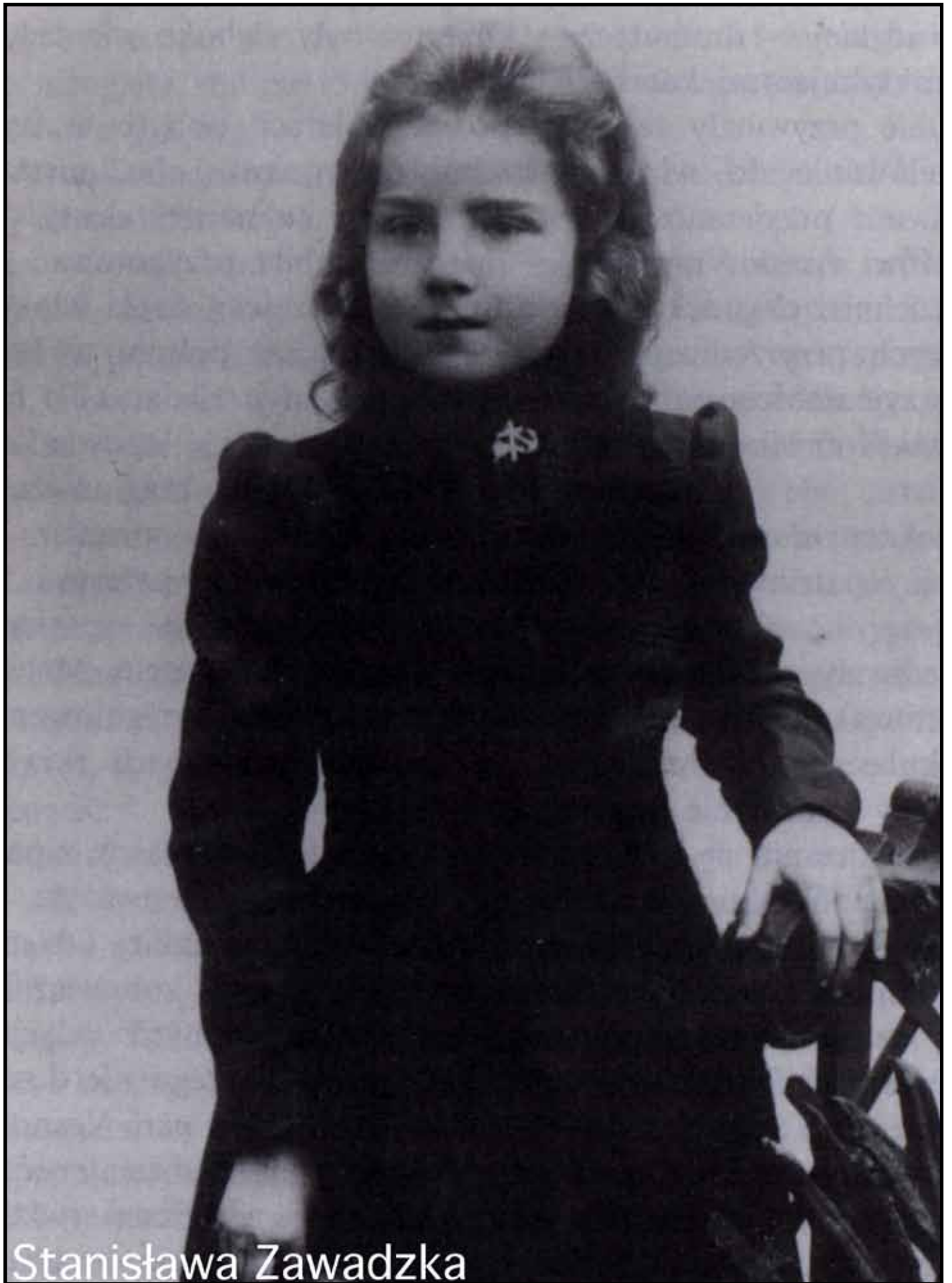
Mówi jej uczennica czeska, Anna Vranowa, obecnie solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, która po ukończeniu Akademii Muzycznej w Pradze od swojej profesorki, Marty Krasovej, dostała list polecający na dalsze studia u polskiej maestry:

— Z treścią zapukałam pewnego dnia w Warszawie do drzwi profesor Stani Zawadzkiej, mieszkającej przy ulicy Glogera.

Wiedziałam, że jest ona profesorką Stefanii Woytowicz, którą bardzo ceniłam, a to powiększało jeszcze mój niepokój. Drzwi otworzyła elegancka dama średniego wzrostu, której blond włosy dodawały twarzy poświatę życzliwości. Moja nieśmiałość została rozproszona natychmiast jej pogodnym zachowaniem i miłym powitaniem. Nie zapomnę jej nośnego głosu, który uderzał świeżością. Wysławiała się precyzyjnie i mówiła krótkimi zdaniem. Ta cecha, jak później miałam się dowiedzieć, była chyba obok dobroci drugą jej cechą charakterystyczną. A paplanie bez sensu uważała za stratę czasu.

O początkach pracy pedagogicznej Stani Zawadzkiej w czasie okupacji hitlerowskiej, kiedy to przerwała swoje występy aż do 1945 roku, mówi jej ówczesna uczennica Alicja Okońska, autorka książki *Spotkania z ludźmi niezwykłymi*.

— Na dwa miesiące przed wojną usłyszałam w radio śpiew kobiety, który dosłownie przykuł



Stanisława Zawadzka

mnie do miejsca. Głos był jak miód słodki, a jednocześnie mocny, o dużym wolumenie, pięknych niskich tonach, nieskazitelnej „górze”. Arię zakończyła fermatą trzymaną bardzo długo i tak prześlicznie sprowadzoną do najcichszego piano, że wprost zamarłam w zachwycie. Pomyślałam, że to płyta z jakąś sławną śpiewaczką (...) Zatelefonowałam do rozgłośni warszawskiego radia i okazało się, że nie pomyliłam się w swojej ocenie. Stani Zawadzka była istotnie śpiewaczką europejskiej sławy, powróciła świeżo z Włoch po piętnastu latach występów w tamtejszych teatrach operowych.

Kiedy dowiedziałam się w czasie okupacji, że profesor Zawadzka daje lekcje śpiewu, moim marzeniem było dostać się do jej studia (...) Nie pamiętam, kto mi dał adres Stani Zawadzkiej. Może śliczna Anna Borey, z którą śpiewałyśmy w kawiarniach „SIM” czy „U Aktorek”? Uczyła się już wówczas u profesor Zawadzkiej, podobnie jak Natalia Riabis, Halina Woytowicz (starsza siostra Stefanii), Ada Lenczewska, Maria Taszowska, Janina Lipkowska i inne.

Kiedy poszłam do pani Stani, najpierw powiedziałam o tym, jak wielkie wrażenie wywarł na mnie jej głos, słyszany przed wojną. — Kiedy będzie można znów Panią usłyszeć? — zapytałam. — Będzie mnie Pani słyszała na lekcjach, ale na koncercie zaśpiewam dopiero po wojnie. W czasie okupacji nie może być o tym mowy — odpowiedziała. Pod tym względem była nieugięta, nic nie mogło jej zmusić do koncertowania, choć biedowała jak inni.

Warunki finansowe, na jakich zgodziła się udzielać mi lekcji, były czystą filantropią: płaćcałam za lekcje 10 złotych (Ada Sari brała 50), a kiedy nie miałam pieniędzy, robiłam modne wówczas broszki i kolczyki z kwiatów, które pani Stani wyceniła ponad ich wartość prawdziwą i komuś tam sprzedawała. Lekcje nie były półgodzinne, ale godzinne i dłuższe, bo nie liczyła się z czasem, gdy chciała coś opracować dokładnie.

Mówi Adriana Kłosińska, bratanica artystki:

— Ojciec opowiadał, że ciocia była dla wielu podporą w trudnych latach studiów w Petersburgu, a potem w Kole Polskim w Mediolanie. Ale dobroć oparta też była o wymagania. Sama była bardzo pracowita i wymagała tego też od otoczenia. Stale była gotowa do pomocy uczennicom pilnym, zdolnym, pracowitym, ale z leniuchami nie chciała współpracować.

Mówi Stefania Woytowicz:

— W przeciwieństwie do wielu innych nie oczekiwała poklasku i taniego rozgłosu. Jej bezkompromisowy stosunek do sztuki i życia, łącznie z wysokim morale, dały i mnie trwałe podstawy. Miała ogromny wpływ na kształtowanie się osobowości każdego, kto zdołał znieść jej dyscyplinę. Często podkreślała, iż istotą działalności artystycznej jest umiejętność podporządkowania się silniejszej indywidualności i zrozumienie wielkiej prawdy, że sztuka wymaga pokory. Sztuka za całkowite jej oddanie odpłaca się szczerze zwłaszcza wtedy, gdy inne uczucia zawodzą.

Te myśli artystki przypomniane przez Stefanię Woytowicz jako żywo skojarzyły mi się z wieloma wypowiedziami uczennic Ady Sari. O pięć lat starsza od Zawadzkiej, Sari wiodła podobny samotniczy żywot, oddając wszystkie swoje siły i myśli sztuce: śpiewowi, a potem pedagogice. Uważała, że sztuka jest zazdrosna, nawet o dom, rodzinę. Obie artystki były ze sobą zaprzyjaźnione, obie w tym samym czasie święciły swoje triumfy we Włoszech i całej Europie, obie biografie były do siebie bardzo podobne. Oba soprany: choć Sari — koloraturowy, zaś Zawadzkiej — dramatyczny. Obie też były głęboko wierzącymi i praktykującymi katoliczkami.

Obie przywiozły ze sobą, po wielu latach pobytu w Italii, zamiłowanie do włoskiej kuchni;



Stanisława Zawadzka

uczennice obu mistrzyń śpiewu z przyjemnością wspominały ich kulinarne talenty.

Mówi Anna Vranowa: — Maestra lubiła przygotować coś w kuchni i elegancko podać. Były to najczęściej dania włoskie, których przyrządzania nauczyła się podczas pobytu w Italii. Z przyjemnością patrzyła, z jakim smakiem je zjadam. To były również chwile wspomnień o jej karierze (...), opowiadania barwne, ale i niesamowite. Świadczyły o bezgranicznym i pokornym uwielbieniu dla sztuki. Wtedy też poznałam jej gorący patriotyzm. Dowiedziałam się, że wojna przerwała jej karierę i zabrała cały dobytek. Nieraz nasze spotkania przerywały wróble czy gołębie siadające na balkonie. Maestra częstowała głodne ptaki śniadaniem specjalnie przygotowanym w kubeczku po margarynie. Uwielbiała trzepot ich skrzydeł i nigdy o nich nie zapominała.

Po ukazaniu się I zbioru *Karier i legend* rozmawiałem z panią Stefanią Woytowicz, która z ubolewaniem zauważyła, że zabrakło w tej książce biografii Stanisławy Zawadzkiej. Obiecała też doprowadzić do spotkania z artystką, ja zaś zobowiązałem się uzupełnić tę ewidentną lukę w następnych edycjach śpiewaczych biografii. Jednakże do spotkania tego nie doszło. Dopiero po śmierci artystki zadzwoniła do mnie pani Vranowa, oferując posiadane materiały, dokumentujące działalność jej maistry. Ona też podała mi informacje o najbliższej rodzinie Stanisławy Zawadzkiej, u której znajdowało się archiwum artystki i pamiętniki po niej. Tak oto dotarłem do dwóch córek brata śpiewaczki: Adriany Kłosińskiej i Hanny Polubiec.

Bratanice — oprócz opowieści o swojej ciotce, jej usposobieniu i stylu życia — udostępniły mi wszystkie zachowane dokumenty związane z biografią Stanisławy Zawadzkiej. Nie było ich wiele, bowiem większość dokumentacji jej występów, listy, afisze spaliły się w czasie wojny. Ale nawet te, co pozostały, pozwalają dziś przynajmniej naszkicować koleje losu artystki i — co ważniejsze — sprostować niektóre błędne, acz najczęściej podawane informacje. A pierwszą z nich jest już data urodzenia.

Otóż w dokumencie rzymskokatolickiej parafii Świętego Krzyża w Warszawie (nr 455 z 1891 roku), poświadczonym w 1929 roku przez Urzędnika Stanu Cywilnego, czytamy: „Stanisława Agata Zawadzka, córka Bronisława Stanisława i Aleksandry z Jedynaków, urodziła się 5 lutego 1891 roku w Warszawie przy ulicy Nowy Świat pod numerem 1294”.

Była pierworodnym dzieckiem w rodzinie przemysłowca Bronisława Zawadzkiego. Do 1900 roku urodziło się jeszcze dwóch jej braci: Felicjan i Aleksander oraz najmłodsza z rodzeństwa — Bronisława. Początkowo warunki finansowe pozwalały na względny dobrobyt i opłatę starannego wykształcenia.

Stanisława uczyła się w Zakładzie Wychowawczo-Naukowym Żeńskim Emilii Szeimbokówny w Warszawie, którego świadectwo z 1908 roku dowodzi, iż uczyła się celująco. Po maturze wyjechała do Petersburga, gdzie rozpoczęła studia medyczne. Od tego momentu jednak zaczęły się kłopoty finansowe, bowiem po śmierci ojca kształcenie w obcym mieście Stanisławy i zaraz potem jej obu braci wykraczało poza możliwości finansowe matki.

Z opowieści rodziny wiem, że Stanisława Zawadzka, podobnie jak ojciec obu moich rozmówczyń — Aleksander, wspominali okres petersburski jako pasmo wyrzeczeń, zimnej stacji, poszukiwania korepetycji, słowem — jako okres chmurny i ciężki. Najstarsza z rodzeństwa czuła się najbardziej za resztę odpowiedzialna, musiała więc dorabiać i to nie tylko na swoje studia medyczne i braci, ale również na opłacenie nauki śpiewu (pedagoga i akompaniatora). Lekcje śpiewu zaczęła pobierać od 1910 roku, tak przynajmniej wskazują jej zapiski pamiętnikarskie, czynione drobnym maczkiem w niewielkim brązowym notesie, w którym zapisywała sobie, ile



Stanisława Zawadzka w 1922 roku

rubli w danym miesiącu kosztował śpiew, ile otrzymała z korepetycji, ile musiała wydać... Ta studencka buchalteria potwierdza tylko, jak trudny był to czas w życiu Stanisławy Zawadzkiej. Notes będzie nam jeszcze niejednokrotnie służył pomocą w próbie ustalenia kolejności wydarzeń w jej biografii, bowiem zarówno w rodzinie, jak i późniejszych, nielicznych zresztą wywiadach prasowych, nic nie wspominała o tym, co się z nią działo przed rokiem 1921. Zupełnie tak, jakby sama chciała wymazać z pamięci swojej i potomnych pierwszy „przedśpiewaczy” okres swojego życia.

W notesie pod datą 5 listopada 1916 roku czytani: „Jestem po egzaminach, otrzymałam listy, wybieram się do Mińska”. Miesiąc później wróciła do stolicy uwikłanego w wojnę imperium, gdzie otrzymała dyplom numer 150 ukończenia Medycznego Instytutu Żeńskiego w Petersburgu. Tak więc od dnia 12 grudnia 1916 roku rodzi się nowa postać: doktor medycyny Stanisława Zawadzka, która przez całe dalsze swoje życie artystyczne będzie zawsze oficjalnie tytułowana: pani doktor. Swoją dyplom petersburski nostryfikowała w wolnej Polsce w marcu 1920 roku.

W zapiskach w notesie następują teraz urywane informacje o licznych podróżach (nie wiadomo, czy związanych z zawodem czy też — co bardziej wydaje się prawdopodobne — z zawieruchą wojenną i rewolucją rosyjską). Aż wreszcie pada, niestety też niepełne, zdanie: „Pierwszy raz debiutowałam dnia 18 maja 1918 roku w operze *Cavaleria rusticana*”. Gdzie? — nie napisała. Obok trzy rosyjskie nazwiska. A więc pewnie na któreś ze scen rozpadającego się imperium.

Pod koniec tego roku znajduje się już w wolnej i niepodległej rodzinnej Warszawie. Brat Felek wstępuje do legionów, a ona od 1 kwietnia 1919 r. podejmuje pracę lekarza wojskowego w Szpitalu IV Dywizji Strzelców generała Lucjana Żeligowskiego. Początkowo jest ordynatorem, a później przechodzi z dywizją cały szlak bojowy jako lekarz II ambulansu. Uczestniczy w czarnomorskiej interwencji anty bolszewickiej, przechodzi przez Mołdawię i we wschodniej Galicji bierze udział w rozstrzygającej ofensywie. Pod 1919 rokiem notuje potem: ... „Wyruszamy przez Czerniowce do Stanisławowa. 13 czerwca — pierwszy dzień na polskiej ziemi!” I dalej: „22 czerwca wybieram się na urlop. Przyjechałam do Warszawy 1 lipca. 17 lipca kontrakt z Operą”.

W dokumentach Stanisławy Zawadzkiej zachowały się dwie umowy roczne podpisane z Emilem Młynarskim, dyrektorem Opery m.st. Warszawy (jak głosi pieczęć). Pierwsza z nich informuje: „Pani Stanisława Zawadzka (zamieszkała w Warszawie przy ul. Chłodnej 35) obowiązuje się od dnia 1 sierpnia 1919 r. do dnia 1 stycznia 1920 roku śpiewać partie sopranowe wskazane jej przez głównego reżysera nieograniczoną ilość razy w każdym miesiącu kontraktowym. Za pracę swą p. Stanisława Zawadzka pobierać będzie wynagrodzenie z Magistratu marek 6000 (sześć tysięcy) rocznie w ratach miesięcznych”. Druga podobna umowa od 1 VIII 1920 do 1 VIII 1921 roku przewiduje gażę roczną 72 000 marek.

Jedną z zachowanych dwóch legitymacji dowodzi, że od 1 marca 1920 roku, już podczas pierwszego roku pracy w Operze, doktor Stanisława Zawadzka równoległe pracowała w laboratorium bakteriologicznym Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie (do końca stycznia 1921 roku, czyli do ostatnich chwil przed wyjazdem z Polski). Druga legitymacja natomiast, zwana „dowodem osobistym” — podpisana 15 czerwca 1920 roku przez Aleksandra Zelwerowicza — zaświadcza, że śpiewaczka została członkiem rzeczywistym Związku Artystów Scen Polskich. A skoro już o legitymacjach mowa, to godzi się wspomnieć bynajmniej nie na marginesie, że



Stanisława Zawadzka jako Turandot

„Legitymacja nr 85 Panny Drą Stanisławy Zawadzkiej” zaświadcza, iż „Otrzymała «odznakę 4-ej Dywizji Strzelców» ustanowioną dla upamiętnienia walk 4-tej Dywizji Strzelców na Kubani, w Odessie, Besarabji i Galicji w latach 1918—1919 oraz działalności Organizacji Werbunkowo-Agitacyjnej w 1918 roku poprzedzającej sformowanie 4-ej Dywizji Strzelców”. Podpisał dowódca: Lucjan Żeligowski, generał-podporucznik. Z notatki prasowej z listą odznaczonych wynika, że była jedyną kobietą, która otrzymała krzyż 4 D.S., wśród takich postaci jak prezydent Wojciechowski, marszałek Piłsudski czy Władysław Raczkiewicz.

Okazuje się, że historia lubi się powtarzać, gdyż nasza bohaterka miała szczęście do generałów. Czterdzieści lat po otrzymaniu od generała Żeligowskiego odznaczenia za walki z bolszewikami, w 1960 roku generał Aleksander Zawadzki, jako przewodniczący Rady Państwa PRL, podpisywał akt nadania Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski Stanisławie Zawadzkiej, zaś w 1981 roku Krzyżem Komandorskim tejże Polonia Restituta uhonorował ją następny przewodniczący Rady Państwa, Henryk Jabłoński, który niebawem został generałem. O tym, że dwa pierwsze sezony w Operze Warszawskiej to nie był zbyt udany okres w jej życiu artystycznym, świadczy nie tylko jej późniejsze milczenie o tych latach, ale wymowny jest przede wszystkim akt swoistej desperacji. Otóż bardzo sumienna, obowiązkowa i zdyscyplinowana trzydziestoletnia już solistka w lutym 1921 roku w połowie sezonu operowego zrywa kontrakt z Młynarskim. Decyduje się na to, mimo że umowa przewiduje na tę okoliczność karę w wysokości połowy jej rocznej pensji.

W notesie zapisała: „Dnia 9 lutego 1921 roku wyjechałam z Warszawy. Odprowadził mnie Miłosz, Felek i Oleś. Pożegnanie było bardzo smutne i przykre, bo usłyszałam uwagi od braci”. Widocznie decyzja śpiewaczki „teraz albo nigdy” nie wzbudziła zrozumienia w rodzinie, a wyjazd entuzjazmu.

Do Mediolanu przyjechała 13 lutego 1921 roku nad ranem. Od tego momentu rozpoczął się nowy i najważniejszy rozdział w życiu artystycznym Stanisławy Agaty Zawadzkiej.

Pół roku później, 29 lipca, podpisała swój pierwszy włoski „contratto teatrale” na występy od 26 listopada do 22 grudnia. W miejscowości Spezia miała śpiewać jako „primo soprano assoluto” partię Magdaleny w operze *Andrea Chenier* Umberta Giordana. Kontrakt przewidywał też, że artystka zobowiązuje się śpiewać cztery spektakle tygodniowo, ale nie więcej niż dwa kolejno po sobie następujące. Honorarium miało wynosić 1500 lirów, płatnych „z dołu”.

Zadebiutowała jako Magdalena w Spezii 3 grudnia 1921 roku pod dyktando Anselmiego. Z notesu wynika, że była ową Magdaleną również następnego dnia, a potem 7, 10, 11 i 14 grudnia, zaś rok zakończyła koncertem arii 19 grudnia.

Teraz spieszyła się. Już trzy dni po przyjeździe do Włoch rozpoczęła lekcje u profesora Ortizi, a 22 lutego zanotowała początek pracy nad rolą w *Fauście*, 5 marca zapisała pierwszą lekcję u pani Fosatti. Potem uczyła się u znanych pedagogów: Emilii Corsi i Luizy Cortesi. Z dumą też wspominała, że została przyjęta — mimo iż nie była Włoszką, co stanowiło o wyjątkowości sytuacji — do Szkoły Dramatycznej Teresy Boetti-Valvasoura.

Po występach w Spezii prawie cały 1922 rok poświęciła na naukę i dopiero w listopadzie sześciokrotnie wystąpiła w Operze w Palermo, w utworze Mascagniego *Il piccolo Marat*. Zarówno *Rycerskość wieśniacza*, w której cztery lata temu — jak pisała w notesiku — debiutowała scenicznie, jak i *Małego Marata*, którym zaczynała występy w pierwszym większym włoskim ośrodku sztuki operowej, śpiewała potem pod dyktando kompozytora. Zaś inny znany włoski

ROYAL OPERA

: : COVENT GARDEN : :

Lessees: Covent Garden Opera Syndicate (1930), Ltd.

THIS EVENING'S PERFORMANCE

Monday, June 8th, 1931, at 8

VERDI'S OPERA

FALSTAFF

In Italian

Falstaff	MARIANO STABILE
Fenton	BEN WILLIAMS
Ford	ERNESTO BADINI
Bardolfo	GIUSEPPE NESSI
Pistol	FERNANDO AUTORI
Caius	LUIGI CILLA
Alice	STANI ZAWASKA
Meg	NADIA KOVACEVA
Nanetta	AURORA RETTORE
Quickly	ELVIRA CASAZZA

Conductor TULLIO SERAFIN

Afisz *Falstaffa* z londyńskiej Coven Garden ze Stani Zawadzka w roli Alicji

twórca operowy, Riccardo Zandonai, spośród wielu wówczas liczących się śpiewaczek włoskich wybrał Stanisławę Zawadzką do ról tytułowych we wznowieniach swoich oper *Francesca de Rimini* oraz *Julia i Romeo*.

Jednym z jej pierwszych włoskich akompaniatorów był Franco Capuana, początkujący wówczas pianista i dyrygent, a niebawem dyrektor Opery Rzymskiej. Właśnie między innymi w Rzymie na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych będzie Zawadzka odnosić duże sukcesy. Nad poszczególnymi partiami operowymi, prócz Capuany, pracowała też z innym znakomitym dyrygentem tych czasów — Antonio Guarnierim.

Półtora roku pobytu we Włoszech było w zasadzie okresem przygotowawczym. Na początku czerwca 1923 roku przyjechała na miesiąc do Warszawy i dwukrotnie wystąpiła w *Aidzie* (5 i 23 czerwca) pod dyrekcją Emila Młynarskiego. Dopiero od października 1923 roku rozpoczął się jej pierwszy wielki sezon śpiewaczy na scenach włoskich. Rozpoczęła go w Teatro Verdi w Ferrarze, występując przez październik i listopad w *Andrea Chenier*. W grudniu była w Wenecji. „Kiedy Mascagni przyjeżdżał dyrygować do Wenecji, to w całym mieście czuło się świąteczny nastrój” — wspominała Stani Zawadzka w audycji radiowej w 1980 roku. Właśnie od 1 grudnia 1923 roku na scenie weneckiego Teatro La Fenice kreowała Mariellę w *Małym Maracie* Piętro Mascagniego pod dyrekcją kompozytora. Jej dwutygodniowe występy w Wenecji stały się pierwszym istotnym sukcesem w karierze śpiewaczki. Od tego bowiem momentu we włoskim świecie operowym zaczęto mówić o nowej śpiewaczce z Polski, określanej jako Stani lub Stanj Zavaska.

W tym sezonie śpiewała jeszcze w Vicenzy, znów w Wenecji, Ferrarze (Teatro Verdi) i Bolonii. 16 grudnia 1924 roku wypłynęła z Genui na swoje pierwsze tournée poza Italię. Nowy Rok witała na scenie Teatro Reale w Kairze, gdzie wystąpiła jako Helena trojańska w operze Boita *Mefistofeles*. W Egipcie śpiewała przez cztery miesiące. Po Helenie była Julią w *Giuletta e Romeo* Zandonai’ego (w Kairze występowała pod batutą kompozytora), a potem w Aleksandrii śpiewała też w *Aidzie* i *Wilhelmie Tellu*. Po występach w Egipcie rozpoczęła się seria wyjazdów europejskich.

Pierwsze miesiące sezonu 1925/26 spędziła artystka w Holandii (Haga, Rotterdam, Amsterdam, Utrecht), występując w *Aidzie*, *Trubadurze*, *Tosce*, *Giocondzie* i *Rycerskości wieśniaczej*. W lutym i marcu 1926 roku śpiewała w Barcelonie, w kwietniu w Walencji, w maju w Madrycie, a potem do końca tego holendersko-hiszpańskiego sezonu w Bilbao, San Sebastian i innych miastach Iberii. Wiele lat później powie w audycji, że najbardziej lubiła występować w Hiszpanii, do której wielokrotnie po tym pierwszym tournée wracała. Tu czuła najbardziej żywy odbiór swoich kreacji scenicznych, tu aż chciało się śpiewać...

W 1927 roku była już autentyczną gwiazdą scen włoskich. Po występach w Bolonii (którą sami Włosi nazywają miejscem najbardziej surowej krytyki) „Resto del Carlino” nazywa ją „największą i najbardziej autentyczną rewelacją sezonu”. Zaś „Corriere del Pomeriggio” dodaje, że „zainteresowanie śpiewaczką zrodziło się bardzo szybko”. „Lavoro ATtalia” określa ją jako „śpiewaczkę i muzyka o ogromnej sławie”. Natomiast w marcu 1927 roku tygodnik „Il Piccolo Teatrale” poświęca jej duży artykuł, podsumowując dotychczasowe osiągnięcia. Czytamy tam między innymi o występach Zawadzkiej w *Otellu* Verdiego na Sycylii: „Teatro Regio z Parmy, jako Najwyższy Trybunał Sztuki, wydał nowe triumfalne dekryty na cześć znakomitej śpiewaczki, a „Gazzetta” potwierdziła to tym, że «... w roli Desdemony potrafi zachować obok postaci łagodnej



Stanisława Zawadzka w 1947 roku

i nieszczęśliwej własną osobowość szlachetną i namiętą, wzbudzającą w momentach najbardziej dramatycznych silne wibracje u widza...»”.

Od 19 lipca do 15 sierpnia 1927 roku zapowiedziano w Weronie na słynnej Arenie „Grandę Stagione Lirica” pod kierownictwem artystycznym Giovanniego Zenatello. Amfiteatr „Arena di Verona” mieści ponad 25 tysięcy słuchaczy i podczas letnich sezonów operowych uchodzi za największy teatr operowy świata. Sezon 1927 roku był historyczny i przełomowy dla tej sceny, bowiem po raz pierwszy, prócz dzieł operowych, zapowiedziano wykonanie utworu symfonicznego: IX Symfonię Ludwiga van Beethovena, w 100 rocznicę śmierci kompozytora, pod dyrekcją Antonio Guarnieriego. Wykonawczynią partii sopranowej była Stanisława Zawadzka. Całomiesięczny sezon przewidywał też kilkakrotne wystawienie *Westalki* Spontiniego i *Aidy* Verdiego. Poza dwoma koncertami Beethovenowskimi Zawadzka wystąpiła tu też ośmiokrotnie w roli Giulii w *Westalce*, odnosząc wielki sukces. Ten coroczny (z wyjątkiem przerw wojennych) letni festiwal — sezon operowy „Arena di Verona” odbywa się nadal, uchodzi za jedną z czołowych imprez operowych na świecie, ale w jego historii tylko raz pojawiła się polska śpiewaczka — właśnie w 1927 roku — Stani Zawadzka. Śpiewała wieczorami w niepowtarzalnej atmosferze wielkiego święta muzyki, kiedy to dwadzieścia kilka tysięcy widzów amfiteatru rozpoczyna misterium od zapalenia wielu tysięcy świeczek. Ktoś to nawet nazwał „świętem płonącego śpiewu”.

Następny rok spędziła w podróżach po całej Europie. Oprócz Włoch śpiewała w Genewie, potem w Portugalii, aż wreszcie pod koniec listopada pojawiła się w Polsce. Wystąpiła najpierw w *Aidzie* w Katowicach, 3 i 5 grudnia w Poznaniu (*Aida* i *Tosca*), zaś 11 grudnia była Desdemoną w *Otelli* na scenie warszawskiej (dwa dni później *Aida*).

Adam Wieniawski napisał w „Rzeczpospolitej”: „Poprzedzona nimbem dużej sławy zagranicznej i bezpośrednio przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych wystąpiła p. Stani Zawadzka we wtorek w *Otelli*. Zbyt reklama czy też zbyt gorące uprzednie pochwały wpływają nieraz ujemnie na ustrój krytyka, bo okazują się w wielu wypadkach przynajmniej przesadne. Zawodu takiego z pewnością nikt nie doznał, słuchając pani Zawadzkiej. Jej kreacja trudnej pod względem wokalnym partii Desdemony wypadła ze wszechmiar pięknie. W ujęciu aktorskim całej postaci było przede wszystkim bardzo wiele prawdziwej kobiecości, z doskonałą mimiką i pełną wykwintnego umiaru gestykulacją. Desdemoną p. Zawadzkiej inkarnowała stylowo i wiarygodnie zarazem poetyczną i rasową córę dożów weneckich (...) Strona wokalna nie pozostawia prawie nic do życzenia — głos posiada p. Zawadzka bezsprzecznie piękny, powłóczysty i ciepły w brzmieniu, a rozległy w skali i emitowany dobrze, z tem tylko zastrzeżeniem, że cokolwiek za głęboko w rejestrze średnim. Głos ten jest w miarę pieśzotliwy i mocny. Słowem powitaliśmy w p. Zawadzkiej bardzo gorąco rodaczkę o nazwisku już zasłużenie głośnym, artystkę przynoszącą chlubę śpiewactwu polskiemu na obczyźnie. Dzisiejsza *Aida* p. Zawadzkiej winna wzbudzić najwyższe zainteresowanie”.

W następnym sezonie operowym, zaczynającym się nieco później, bo dopiero 7 grudnia 1929 roku, Stani Zawadzka weszła do zespołu solistów mediolańskiej La Scali. Fakt ten odnotowała też z dumą nasza prasa, donosząc w tytułach: „Jan Kiepusa i Stani Zawadzka w Teatro alla Scala”. A w korespondencjach pisano: „Z rozwieszonych na murach Mediolanu plakatów można się dowiedzieć o zmianach w zespole Scali i o repertuarze słynnego teatru. Głównym dyrektorem zamiast Toscaniniego został Guarnieri, były dyrektor Opery w Bolonii, wśród

dyrektorów-kapelmistrzów widnieje nazwisko Zygfrieda Wagnera, syna wielkiego Ryszarda. Między artystami tej miary co Lauri Volpi, Tito Schipa (...) czytamy dwa nazwiska: Jan Kiepusa i Stani Zawadzka. Nazwiska te wśród czołowych artystów operowych świata roznoszą po świecie nie tylko imię Polski, ale stawiają sztukę naszą na odpowiednim poziomie wobec zagranicy”.

W marcu 1930 roku wyjechała wraz z zespołem La Scali na uroczyste przedstawienie Toski w Monte Carlo, gdzie odniosła głośny w prasie całej Europy sukces w roli tytułowej. W czerwcu 1931 roku również z tym zespołem pod dyrekcją Tullio Serafina występowała w londyńskiej Covent Garden jako Alicja w *Falstaffie* Verdiego. Tu również krytycy w superlatywach ocenili kreatorkę roli Alicji Ford. Stanisława Zawadzka była nie kwestionowaną gwiazdą europejskiej sceny operowej.

W latach trzydziestych jej repertuar obejmował około trzydziestu oper klasyki światowej, od Opowieści *Hoffmanna Offenbacha*, poprzez opery włoskie, francuskie, rosyjskie, po *Lohengrina*, *Tannhäusera* i *Śpiewaków norymberskich* Wagnera, co najlepiej świadczy o możliwościach głosowych Stanisławy Zawadzkiej. Oprócz tego miała w repertuarze 16 (szesnaście!) oper polskich: całego Moniuszkę, opery Żeleńskiego, Paderewskiego, Różyckiego, Walewskiego, Joteyki, a nawet *Królową Jadwigę* Kurpińskiego.

Była też znana w światku operowym ze swoich zamiłowań lingwistycznych. Władza biele ośmioma językami europejskimi i — jak mówiły mi jej bratanice — niemal do ostatnich chwil życia ciągle powtarzała sobie słówka i zwroty, by nie zapomnieć tych języków przez brak kontaktów z obcokrajowcami; uczyła się z radia nowości językowych, dysponując przy tym niespotykaną w tym wieku znakomitą pamięcią i kondycją fizyczną. Ponoć nigdy nie leczyła się u lekarzy, jej wiedza medyczna w zupełności wystarczała, wierzyła tylko w ziołolecznictwo. Nawet w ostatnich miesiącach życia, leżąc w szpitalu, nie przyjmowała lekarstw farmakologicznych — jak opowiadała mi jej uczennica, Czesława Ciechomska, która opiekowała się Maestrą do końca — dyskretnie je wypluwając, by nie urazić pielęgniarek i nowoczesnych medyków.

Od 1921 do 1935 roku mieszkała stale w Mediolanie. Z tego okresu pochodzą też jej wspomnienia (przekazane mi przez Adrianę Kłosińską), dotyczące państwa Toeplitzów, postaci przewijających się w biografii wielu naszych artystów m.in. Ady Sari i Jana Kiepusy. Żona Józefa Toeplitza, jednego z najbogatszych ludzi ówczesnej Europy, Jadwiga, opublikowała swoje pamiętniki. Po przeczytaniu książki Jadwigi Toeplitz - Mrozowskiej Stanisława Zawadzka opowiedziała swojej bratanicy:

— W przepięknej rezydencji państwa Toeplitzów w Varese byłam częstym gościem i spędzałam tam parę razy swoje tygodniowe wakacje. Pałac ich był ładnie urządzone, pełen drogich i egzotycznych przedmiotów przywożonych przez Jadwigę z całego świata.

Dostawałam zawsze apartament pod — wybudowaną dla Jadwigi — wieżą-observatorium astronomicznym. Był to pokój cały wyścielony wspaniałym białym dywanem, z widokiem na park, który był swoistym arcydziełem sztuki ogrodniczej, z licznymi basenami i fontannami, kolorowo wieczorem podświetlanymi.

Józef Toeplitz był wtedy nie koronowanym królem włoskiej finansjery, właścicielem banków, kolei i wielu innych instytucji. Lubił mój śpiew i półzartem twierdził, że tylko dwie sprawy go nie nudzą: bank i pani Zawadzka. Na przyjęciach w Venese miejsce obok pana Toeplitza było przeznaczone dla mnie.

Natomiast Jadwigę odbierałam nieco inaczej niż to by wynikało z jej pamiętników. „Była



Stanisława Zawadzka
w *Rycerskości wieśniaczej*

niesympatyczna, chimeryczna i bardzo apodyktyczna. Myślała tylko o swoich podróżach. Miała ogromną ilość służby i sekretarzy, którzy wszystko spisywali podczas jej podróży i przygotowywali opracowania do jej książek i odczytów, o czym również nie wspomina. Nie mogłam też zrozumieć jej zachowania w stosunku do własnej matki. Była to miła i mądra kobieta i gdy cokolwiek chciała załatwić u swego zięcia, to mnie prosiła o wstawiennictwo, bo Jadwiga nie chciała w ogóle rozmawiać z mężem na temat matki.

Była niezłą aktorką dramatyczną, ale koniecznie chciała śpiewać, bo to się liczyło w Mediolanie. Uczyła się śpiewu, próbowała występów, lecz niestety bez rezultatów...”.

Przed wyjazdem z Włoch w notesie naszej bohaterki — tam gdzie zapisywała swoje występy sceniczne — niejako na równych prawach z premierami operowymi, pod datą 25 marca 1934 roku, znalazłem zapis: koncert u Toeplitzów.

W 1935 roku Stanisława Zawadzka przeniosła się z Mediolanu do Poznania i została solistką Teatru Wielkiego, prowadzonego wówczas przez Zygmunta Latoszewskiego, bodaj najmłodszego dyrektora operowego w Europie. Korzystając z tego, że w zespole pojawiła się gwiazda światowej klasy, Latoszewski tak ustawił repertuar sezonu 1935/36, iż potem kronikarze opery poznańskiej uznali ten sezon za jeden z najlepszych sezonów w dziejach teatru. Szczególnie dwie pozycje zapisały się najwyraźniej na kartach historii Teatru Wielkiego w Poznaniu: otwierająca sezon 5 października 1935 roku premiera (jednego z najlepszych dzieł Ludomira Różyckiego, po raz pierwszy pokazanego w tym mieście) opery *Beatrix Cenci* oraz 21 grudnia polska prapremiera włoskiej opery *Adriana Lecouvreur*, której twórcą był Francesco Cilea.

Sukces obu tych premier był też w dużej mierze udziałem odtwórczyni partii tytułowych — Stanisławy Zawadzkiej. Przyznawali to krytycy, jak również obecny na premierze *Beatrix Cenci* kompozytor tej opery, opartej na ponurym dramacie Słowackiego o tym samym tytule.

A już wręcz wirtuozowskim pokazem najwyższej klasy włoskiego bel canta była dla Zawadzkiej premiera *Adriany Lecouvreur*. Przyznawali to zgodnie wszyscy świadkowie tego zdarzenia, słuchając jej partii tytułowej. „Jest to rola opracowana w dużym stylu — pisał na łamach „Kuriera Poznańskiego” Witold Noskowski. — Głos płynie szeroką falą. Każda fraza zarysowana pięknym łukiem, technicznie wykończona w sposób wzorowy, z klasycznym rozkładem oddechów (...) Górne dźwięki zalewają amfiteatr blaskiem i pełnią, dalsze odpowiadają posłusznie w chwilach tragicznego napięcia. Na tym mocnym fundamencie technicznym opiera się ekspresja. Adriana pani Zawadzkiej nieraz porywa bezpośredniością tragicznego wyrazu, w którym ton spływa się z wybornie zarysowanym gestem. Widać doskonale poprowadzoną, imponującą pracę nad częścią mimiczną tej bardzo trudnej roli. Kto pamięta p. Zawadzką w *Beatrix Cenci*, ledwie uwierzy, iż jest to ta sama artystka (...) Nabiera się wyobrażenia, jak wyglądają we Włoszech maniery wielkiej arystokracji śpiewaczej. Pani Zawadzka miała wieczór wielkich owacji”.

Zygmunt Latoszewski, jak mi niedawno opowiadał, wystawił *Adrianę Lecouvreur* za namową swojej nowej solistki, która gorąco rekomendowała tę nieznaną w Polsce operę Cilea’i.

— Siadłem do instrumentu z wyciągiem fortepianowym i po przegraniu całości od razu przyznałem rację pani Zawadzkiej. „To warto wystawić — wspominał profesor Latoszewski.

— Zresztą już w tym pierwszym sezonie pobytu u nas pani doktor obsadziłem ją również w *Rycerskości wieśniaczej*, którą wznawialiśmy w listopadzie 1935 roku, już po premierze *Beatrix*,

a przed premierą *Adriany*. Wiedziałem, że ta opera Mascagniego wiąże się silnie z biografią śpiewaczki, że przez kontakt z batutą dyrygencką kompozytora może wnieść do naszego wznowienia *Rycerskości* wiele ciekawych obserwacji. I nie omyliłem się. Gwiazda tej miary i z takim doświadczeniem, nie mówiąc o dużej kulturze osobistej, była silnym filarem naszego teatru. A wówczas, co trzeba przypomnieć, byliśmy jedynym w Polsce regularnie pracującym teatrem operowym, bo Teatr Wielki w Warszawie zajmował się głównie operetkami i miał rozliczne kłopoty organizacyjne”.

Do wybuchu II wojny światowej Stanisława Zawadzka śpiewała w Poznaniu, biorąc udział w wielu ważniejszych zdarzeniach artystycznych na tej scenie. Była między innymi Elzą w premierze *Lohengrina* Wagnera (21 XI 1936 r.), stworzyła „Rewelacyjną kreację Mimi” (jak to określano) we wznowionej *Cyganerii*, śpiewała główną partię Seliki na premierze *Afrykanki* Meyerbeera (1 XII 1937 r.), była tytułową postacią w polskiej prapremierze *Alcesty* Glucka (12 III 1938 r.), tytułową Giocondą (premiera 26 XI 1938 r.), tytułową Turandot (1 II 1939 r.).

W Warszawie była rzadkim gościem. W marcu 1935 roku zaśpiewała Aidę pod dyktando gościnnie wówczas występującego w Teatrze Wielkim kapelmistrza Jaschy Horensteina. Znany krytyk i kompozytor (twórca opery *Jjola*) Piotr Rytel po Aidzie był mile zaskoczony, czemu dał wyraz na łamach „Gazety Warszawskiej”.

„Nie słyszeliśmy tej artystki wiele lat (...) Dawniej młoda dobrze zapowiadająca się debiutantka, dzisiaj pani Zawadzka prezentuje się jako artystka miary poważnej, pierwszorzędnej! Uderza nas przede wszystkim jej kultura wokalna i sceniczna. Dalej: świeżość, siła i rozległość głosu, umiejętność władania nim, w końcu: utrzymywanie szlachetnej miary w stosowaniu efektów, unikanie przesady i brak przeto zmanierowania oraz powściągliwość w grze aktorskiej, w której widzimy więcej przemyślenia niż wybujałości żywiołowej. Stworzona przez p. Zawadzką postać Aidy miała rysy dla nas nieco nowe, interesowała przeto i zaciekała. Dwie wielkie sceny solowe (akty I i III) wykonane były istic po mistrzowsku; wejście na górne *do* odbywało się z największą swobodą i łatwością. Szlachetność frazy utrzymana była do końca”.

W 1936 i 1938 roku pojawia się jeszcze Stanisława Zawadzka na publicznych koncertach w Warszawie jako solistka orkiestry symfonicznej Polskiego Radia, prowadzonej przez Grzegorza Fitelberga. Uczestniczyła 6 października 1936 roku w pierwszym koncercie dla publiczności w sali „Romy”, inaugurującym comiesięczne występy „radiówki” przed żywą publicznością.

Natomiast 28 marca 1938 roku śpiewała partie sopranowe w pamiętnym koncercie orkiestry Polskiego Radia w sali Teatru Wielkiego, w pierwszą rocznicę śmierci Karola Szymanowskiego. Śpiewała w *Litanii*, *Veni Creator* i III Symfonii, która po raz pierwszy została przedstawiona publiczności w pełnej krasie, z chórami (czyli zgodnie z oryginalnym zamysłem kompozytora, bowiem dotychczasowe „redakcje” tego utworu zamysł ten uszczuplały).

Kilkuletnia współpraca radiowa z Fitelbergiem przyniosła jej popularność wśród melomanów spoza publiczności poznańskiej Opery, czego dowodem może być okładka „Anteny” (nr 18 z 1939 r.), na której znajdujemy zdjęcie Stanisławy Zawadzkiej w kostiumie z *Turandot*, tak więc i radiowcy uznali ją za swoją gwiazdę.

Okupację spędziła w Warszawie, ucząc śpiewu. Nigdzie nie występowała aż do czerwca 1945 roku, kiedy to po raz pierwszy po wojnie pojawia się na estradzie w koncercie arii operowych. Przez następnych pięć lat prowadziła klasę wokalistyki w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Krakowie, będąc jednocześnie do 1948 roku solistką Opery Poznańskiej. Ze sceną żegnała się

w sierpniu 1948 roku, podczas gościnnych występów poznaniaków w Warszawie, gdzie w Sali Teatru Polskiego prezentowali *Aidę* ze Stanisławą Zawadzką w roli tytułowej.

Od 1950 roku przeniosła się do Warszawy i przez dalszych 20 lat pracowała jako profesor wyższej szkoły muzycznej. W tym czasie była też jurorem międzynarodowych konkursów wokalnych, między innymi w Sofii, Genewie, Rio de Janeiro czy Tuluzie. Prócz tego prowadziła zajęcia na letnich kursach mistrzowskich.

Na początku lat osiemdziesiątych jedna z jej uczennic, Alicja Okońska, pisała: „Doktor Stani Zawadzka swoimi uczennicami opiekuje się z prawdziwie macierzyńską troskliwością. Zna ich osobiste sprawy, doradza, leczy (jest przecież lekarzem), chociaż wiele z nich odpłaciło jej zapomnieniem i obojętnością. Czasem narzeka na trudy, kłopoty pedagogiki, twierdzi, że nic jej nie dała prócz smutku i zawodów, ale wiem, że niech no tylko zjawi się uczennica z ładnym głosem i poprosi o lekcje, pani Stani zajmie się nią z całym poświęceniem. W sprawach sztuki nigdy siebie nie oszczędzała, nigdy nie uważała, że już czas na odpoczynek...”

I pomyśleć, że mowa tu o kobiecie ponad dziewięćdziesięcioletniej. Do końca swoich dni sprawnej, precyzyjnej, systematycznej. Uważała bowiem, że bez precyzji w myśleniu i działaniu w śpiewie niczego się nie osiągnie. Swoim uczniom mówiła często:

— Kiedy kurtyna idzie w górę, a batuta zawisa w powietrzu, nie ma czasu ani miejsca na jakiegokolwiek „rozwichrzenie artystyczne”. Stajesz się kółeczkiem wielkiej muzycznej maszyny i twoim zadaniem jest spełnić swoją rolę w sposób jak najbardziej precyzyjny. Byłam świadkiem marnowania się wielu talentów wokalnych, a w większości przypadków przyczyną tego był brak systematyczności i umiejętności rozłożenia pracy.

Zawód śpiewaka wymaga koncentracji wszystkich wysiłków. Mówiłam to moim uczennicom, ale zaledwie kilka umiało zrozumieć słuszność tych rad i do nich się zastosować.

Doktor Stanisława Zawadzka zmarła 21 lipca 1988 roku w Skolimowie. Niestety, nagrań fonograficznych nie pozostawiła.



© Wacław Panek
waclawpanek@waclawpanek.pl